ROZMAITOŚCI.

Dnia 23 sierpnia, Nr. 34. roku 1845.

Rybak z Noli.

(Dokończenie.)

Szanowne damy, którym przy wstępie na salę przedstawiony zostałem, były małżonka notaryjusza, jego nieco podeszła siostra, tudzież jego trzy córki. Przyjęto mię z tak uprzedzającą i prawie natrętną uprzejmością, iż mimowolnie usuwać się zacząłem, lękając się, aby sobie żadnych zamysłów nie robiono. Panny Trafico — tak bowiem nazywał się mój notaryjusz — obdarzone prawdziwą chęcią przypodobania się gościom rodzicielskiego domu, znajdowały się w owéj porze przesilenia wszelkich panieńskich nadziej, w któréj jedyném marzeniem dościgłéj dziewicy, jest małżonek. Były one jeszcze wszystkie do wzięcia, a ponieważ każda — nie wiém, wskutek jakiéj polubownéj ugody z kalendarzem — zarówno dziewiętnaście lat miała, co jak wiadomo jest najpóźniejszy rok życia, jakiego nieprzyrzeczona nikomu panna dojść może, przeto było jasno jak na dłoni, iż ich rodzic jednę z nich z mojemi 50cią tysiącami cekinów wyswatać zamierzył.

Obiad odpowiadał swoją smakowitością powszechnéj dobroci i uprzejmości całego domu, a mój żołądek był grzeczniejszy ode mnie, gdyż niemiał żadnego podejrzenia przeciw nikomu, i zapomniał zupełnie, iż jadł niedawno śniadanie. Przez cały ciąg obiadu nie pamiętała gospodyni domu o nikim, tylko o mnie, notaryjusz nie pochwalił nikogo, prócz mnie jednego, panny nie zważały na nikogo i na nic, tylko na mnie. Po obiedzie, dzięki zręczności rodziców, zdarzyło się iż sam na sam z wszystkiémi trzema córkami notaryjusza zostałem. Śmiesznie zapewne wyglądałem w ich towarzystwie, mimo to jednak, obchodziły się panny ze mną jak najłaskawiéj, wychwalały przyjemność mojéj rozmowy, i zadawały mi wiele pytań względem mojego rodzinnego miasteczka Noli, i rybackich przygód na morzu.

Wkońcu uczułem niepohamowaną ochotę wymknięcia się z towarzystwa panien Trafico, i orzeźwienia się widokiem miasta, które niegdyś ubogim chłopcem po raz piérwszy widziałem, a któremu teraz, mając pełne kieszenie pieniędzy, jeszcze się wcale nie przypatrzyłem. Na szczęście oznajmiono, iż notaryjusz życzy sobie ze mną mówić. Pożegnałem więc panny i pośpieszyłem do gabinetu pana Trafico, gdzie się następna rozmowa między nami zawiązała:

»Cieszy mię mocno, mój młody przyjacielu, widzieć cię wpośród mojéj rodziny. Mógłeś być świadkiem szczęścia, jakie w naszém domowém kole kwitnie. Zawdzięczamy je pełnieniu cnót domowych i uczuć religijnych, które nas ożywiają, zawdzięczamy je wybornym przymiotom serca moich wszystkich trzech córek i mojéj żony. Tak jest, mój przyjacielu, — tylko na łonie rodziny można prawdziwe znaleźć szczęście, i dlatego nie dobrze żyć samotnie, bez towarzysza, jakto pismo święte mówi.»

Tu przestał pan notaryjusz, chcąc mi dać dosyć czasu do rozmyślenia uwag jego.

„Zastanów się dobrze, mój synu,” — ozwał się daléj ojciec moich nowych trzech przyjaciółek, uśmiéchając się przytém z prawdziwą ojcowską dobrocią — »zastanów się dobrze, co teraz masz czynić, doznawszy tak rzadkiéj pomyślności losu. Czy nie masz chęci starać się o jaki tytuł, posadę? Czy niechciałbyś na przykład, ożenić się z jaką przyjemną, dobrą panienką? przyjąć służbę w rządzie? zostać użytecznym członkiem społeczeństwa? No, jakże, cóż myślisz robić?”

»Co robić myślę?»

„Tak jest, mój synu, jakie są twoje zamiary?»

Nato odwróciłem się obojętnie, wyszukałem sobie fajkę, skrzesałem ognia, i zacząłem palić w milczeniu.

»*Bravo, bravo,* filucie;” — rzekł mój gospodarz, zmuszając się całą siłą do uprzejmego uśmiéchu — »widzę iż lubisz żarty; jestto dobrze, bardzo dobrze, świadczy bowiem o wewnętrznem weselu duszy i prostocie młodego, niezepsutego serca. Wszakże, wróćmy do naszéj rozmowy. Widzisz, mówię z tobą szczérze; nieprawdaż? Otóż powiadam ci, iż ci się trzeba ożenić; a jak postrzegam, masz nawet chęć po temu.”

„Ach, mógłżeś pan zgadnąć....»

»O, czyż to wiele potrzeba, mój synu, aby zba-

dać tak niewinne, otwarte serce, jakiém jest twoje? Rozumiém; życzysz sobie pojąć w małżeństwo zacną, urodziwą dziewicę, która może równie jest ci przychylną.”

Tego było mi już za wiele, postanowiłem za tak bezprzykładną natrętność dać mu małą nauczkę, i naciągnąwszy wiele dymu w nos i usta, puściłem mu niby niechcący cały kłąb w oczy, przepraszając go mocno. Biédny pan Trafico omało się nie udusił, i ledwie z krzesła nie zleciał.

»Ach mój Boże,” — rzekł wreszcie, przyszedłszy nieco do siebie — „tuż, tuż byłbym mógł ducha oddać. Jakiżto nieznośny tytoń palisz mój przyjacielu! A nawet — nie widzę wcale powodu, dlaczegobyś miał się oddawać tak złemu nałogowi. Chcąc się ożenić, trzeba się koniecznie odzwyczaić od tego.”

„Wpan nie byłeś nigdy na morzu »

»Uchowaj Boże; boję się wody równie mocno jak dymu. Lecz wróćmy do naszéj rozmowy. Więc powiadasz, iż twoje serce nie jest już wolne?”

Za to kłamstwo miałem ochotę puścić mu drugi kłąb dymu, powściągnąłem się jednakże i rzekłem:

„Wieszże pan pewnie, że mu to powiedziałem?”

„Och, mój synu, w podobnych okolicznościach zdradzamy mimowolnie swoje uczucia. Ale — po cóż to milczenie! Wszak masz do czynienia z tkliwym i rozsądnym ojcem, któremu nadewszystko na szczęściu swoich dzieci zależy, a lubo twoje wychowanie zbyt zaniedbane było, i wiele jeszcze starań wymaga, przecież bądź przekonanym mój przyjacielu, iż dla szczęścia swojéj córki i twego, nie będę na żadne przesądy zważał i chętnie cię uściskam jako mego syna.”

To mówiąc rzucił się czule na mnie i chwycił mię w swoje objęcia. Potém rozwinął dużą, jedwabną chustkę i wydusił nawet kilka łez z oczu. W ciągu téj całej sceny byłem niewzruszony i milczący jak posąg, i tylko o tém myślałem, jakby najkrótszą drogą do moich cekinów się dostać. Nagle przyszła mi szczęśliwa myśl do głowy. Odpowiedziałem panu Trafico jąkając się, i za rękę go biorąc, co bywa najlepszym środkiem zostawienia kogoś w najlepszéj nadziei, nie obowiązując się do niczego. Mój notaryjusz nie posiadał się z radości. Była ona tak widoczna w każdém jego poruszeniu, iż mi żal się zrobiło, i byłbym go zapewne wywiódł z błędu, gdyby nam nie przerwano. Zgłosił się bowiem jakiś spółuczestnik zapisu mojego wuja i chciał się widzieć z panem Trafico. Udaliśmy się do kancelaryi notaryjusza, gdzie nas już nie bardzo młod , słuszny, suchy, czarno ubrany mężczyzna czeka Widać było iż chce zabrać znajomość i nazywał mię kuzynem, mówiąc o sobie, iż jest obywatelem parmezańskim. Zbliżyłem się do mojego nowego kuzyna, gdyż myślałem wziąć go za pozór do wymknięcia się z mieszkania notaryjusza.

»Patrz pan, panie Trafico,” — ozwał się nagle mój krewny *cavaliere* di Ravioli — „oto znalazłem tu kuzyna, którym w saméj rzeczy chlubić się mogę. Czegoż bowiem potrzeba, aby bardziéj po kawalersku wyglądać? *Bontà di Dio!* Objechałem całą Europę, byłem w Medyjolanie, w Rzymie, Neapolu, w Paryżu, Londynie, Berlinie, Wiédniu, w Konstantynopolu, a przysięgam na Boga, iż nigdzie doskonalszego kawalera nie widziałem, zwłaszcza w tak młodym wieku, i bez dostatecznego doświadczenia. Podaj mi rękę, mój bracie;” — odrzekł obracając się do mnie — »podobałeś mi się od piérwszego wejrzenia, i jestem pewien, iż umiész żyć w świecie, jak przystoi.”

Te ostatnie słowa pojednały mię z moim kuzynem, którego skłonności zdawały się być wcale podobne do moich. Podczas gdyśmy się po przyjacielsku za ręce ściskali, skrzywił się Trafico przeraźliwie i popadł nagle w zły humor. Postrzegłem iż nowy przybysz wcale mu nie był do smaku, co mię prawie cieszyło.

»Kuzynie!” zawołałem wesoło. »Nie mogę ci wysłowić, jak mię twoja znajomość uszczęśliwia. Jeżeli masz ochotę, przejdziemy się po ukończeniu naszego interesu, razem po mieście.”

»Po ukończeniu!” ozwał się pan Trafico, wznosząc ręce ku niebu. »Piękny koniec! Puścizna wynosząca blisko 150,000 cekinów, cała rozszarpana zapisami! Pożal się Boże!”

»150.000 cekinów?” zawołałem zdziwiony.

»A jużci;” — odrzekł mój kuzyn — »na ciebie cała trzecia część spada; ale na słowo Raviolego, życzę ci z duszy téj fortuny, gdyż spadła na człowieka, który mi się podoba.”

„A tyż, kuzynie?” zapytałem. »Godziż się wiedzieć, ile dostałeś?”

»Toż nie czytałeś jeszcze testamentu? I cóż u licha robiłeś tak długo z notaryjuszem? Co się mojego legatu tycze, jest on dość skromny; lecz mniejsza oto! Niechaj żyje nieboszczyk! Nie zapomniał zupełnie o mnie, a to już wiele. No i jakże, panie Trafico,” — dodał zwrócony do notaryjusza — »możebyśmy skończyli już interes — gdyż mojemu kuzynowi zdaje się być również pilno jak mnie samemu. Mam więc nadzieję, iż jeszcze dziś wieczór odliczę sobie na tym stole 100.000 franków. — A teraz, kuzynie, pójdziem trochę na miasto. Nieprawdaż?”

„Z całego serca;” odpowiedziałem biorąc za kapelusz.

Trafico pobladł z obawy o mnie. Widząc mię odchodzącego z Raviolim, mniemał, iż już nazawsze dla niego stracony jestem. Wybiegł tedy za nami i chciał mię koniecznie zatrzymać.

„Nie, mój młody przyjacielu,” — mówił do mnie — „nie mogę na to pozwolić, abyś w lada czyje wpadł ręce.”

Te słowa oburzyły mego kuzyna. „Wiesz pan, iż te wyrazy satysfakcyi żądają!” ofuknął się na notaryjusza.

„Dam wpanu, jakiéj sam zechcesz,” — odrzekł przestraszony Trafico — „byleś tylko puścił tego młodzieńca.”

Po tych słowach chwycił mię za rękę i wciągnął prawie przemocą o kilka kroków nazad za sobą. Lecz mój kuzyn nie dał się tém odstraszyć; porwał mię jeszcze silniéj za drugą rękę, i zchodząc po schodach, pociągnął nas obu z sobą. W drodze, gdyśmy tak wleczeni przez Raviolego mimowolnie z stopnia na stopień zeskakiwali, dał nam pan Trafico słyszéć jeszcze małą próbkę swojéj wymowy.

„Wpan jesteś niewdzięcznym!” wołał na mojego kuzyna. »Biédzę się od rana do wieczora pańskiemi interesami, a pan mi się tak odpłacasz! Dziś jeszcze ileżto napracowałem się dla pana, i dopnę tego przecież, iż otrzymasz swój legat. Bo mamże panu powiedziéć? — Zachodzą różne trudności.... opiérają się exekucyi testamentu...”

»Jakto!” krzyknął mój kuzyn. „Nazwij mi pan tych niegodziwców, niech im uszy obetnę.”

»Sprzeciwiają się temu,” — odrzekł notaryjusz — „najprzód małżonka nieboszczyka, która utrzymuje iż ma prawa...”

„Żadnych praw! Oprócz prawa powrócenia nazad do domu. Któż daléj?”

„Daléj, moi panowie, sprzeciwia się jeszcze pewna dama, wierzycielka nieboszczyka, która prawny i należyty weksel posiada.”

»Czernisz wpan mojego nieboszczyka kuzyna,” — odparł Ravioli dobitnie — „byłto przykładny człowiek, i nie wdawał się z osobami, któreby jego wierność małżeńską w podejrzenie podać mogły. Zresztą nie potrzebujesz wpan, jak tylko dać owéj damie mój adres, a ręczę panu, iż jéj wypłacę weksel. Lecz pójdźmy już;” — rzekł do mnie, wysuwając mię na ulicę — „pan Trafico ma, jak mi się zdaje, osobliwsze zamiary z nami, i nie dziw nawet, gdyż ma trzy córki na wydaniu.”

To rzekłszy zawarł mocno drzwi za sobą, nie wypuszczając notaryjusza za nami, lecz pozwalając mu w sieniach krzyczéć do woli na jego niewdzięczność a moją lekkomyślność, podczas gdyśmy sami coprędzéj do miasta pośpieszali.

Mój kuzyn był nadzwyczajnie uległy moim żądaniom i oprowadzał mię, którędy mi się tylko podobało, służąc mi za dowcipnego *cicerone*. Przeszedłszy się po ogrodzie Lomellino, nadziwiwszy się pałacom przy ulicy *Strada-Nuova*, spędziwszy z godzinę na tarasie przed kościołem San Lorenzo, udaliśmy się na wniosek mego kuzyna do kawiarni na Corso. Uprzejmy kuzyn zwykł był, jak widać, rozpoczynać wszystko na wielką stopę. Poznoszono nam zaraz najwyborniejszych likierów, przyksąsek i owoców. Gdy wreszcie godzina wieczorna nadeszła, postanowiliśmy pójść razem na kolacyję, i nie żałować pieniędzy.

„Ależ kuzynie,” — ozwał się wkońcu Ravioli — „nie wiém jeszcze gdzie mieszkasz.”

Nazwałem mu lichą oberżę, w któréj mieszkanie objąłem.

„Wstydź się!” odpowiedział kawaler. „Któż w takiéj dziurze mieszka! Byłobyto ubliżającém dla naszéj zacnéj rodziny. Mogę ci ofiarować pokój w pałacu Caracoli przy ulicy Strada-Nuovissima. Będziesz tam miał przepyszny balkon, z którego najpiękniejsze kobiety Genuy przechodzące tamtędy obaczysz.”

Nie minęła godzina, a byłem już z całym moim pakunkiem u Raviolego. Zajął on się zupełnie jak najdogodniejszém umieszczeniem mię u siebie. Poczém pozrzucaliśmy strój żałobny i ubrani jak na bal, wyszli znowu do miasta. Byłto pierwszy wieczór w mojém życiu, spędzony w rozpuście miejskiéj. Nie wróciliśmy aż nad ranem.

Nazajutrz, gdym się obudził, była już dziewiąta godzina, a dotąd nigdy jeszcze ranne słońce śpiącego mnie nie zastało. Poszedłem do pokoju kuzyna i ujrzałem go już ubranego, przy ostrogach, z szpicrutem w ręku.

„Jakto!” zawołałem zdziwiony. „Po bezsennie przy szklance spędzonéj nocy, chcesz zamiast przespania się, wyjeżdżać konno?”

»Nie, i owszem, wracam właśnie z przejazdki. Jeden z moich przyjaciół, prosił mię przejechać pięknego młodego konia, którego kupić pragnie. Jeździłem więc ze dwie godzin ponad wybrzeżem.”

»Toż ani chwili nie spałeś?”

„Czy spałem!” odrzekł wstrząsłszy posępnie głową. »Och, mój przyjacielu....”

Co chciał powiedziéć, nie dokończył, tylko jakiś ironiczny uśmiech zaigrał mu na ustach; lecz ten przystęp melancholii nie trwał długo. Wkrótce odzyskał dawną wesołość, i —

„Pójdź tutaj;” — rzekł do mnie — „usiądź sobie, napijemy się czekolady.”

Przy śniadaniu mówił daléj:

„Dwie główne drogi są w życiu, droga oddania się namiętnościom, i droga opiérania się tymże. Nie jestem ja wprawdzie surowym moralistą, przecież dla zaspokojenia mego sumienia muszę się zapytać, którą obrać zamyślasz? Zastanów się nim mi odpowiesz.”

»Ha, jeźli tak otwarcie mówisz ze mną, tedy muszę ci równą otwartością odpłacić!” odpowiedziałem. „Wiedz zatem, iż mam ochotę użyć, czego chwila zapragnie. Jeźli ty, to drogą namiętności nazywasz, więc tę drogę wybiéram.”

Parmezańczyk wychylił zwolna filiżankę i rzekł: „W istocie, wprawiasz mię w kłopot. Nie chciałem ja cię na świętoszka wyprowadzić, lecz nie chciałbym również być ci przewodnikiem do rozpusty. Poznaję twój gwałtowny charakter; strawisz się w krótkim czasie.”

„Ale nie zaciekajmy się daleko, — chcę prowadzić takie życie, jak ty kuzynie.”

Parmezańczyk usunął się szybko z krzesłem i zawołał żywo:

»Broń cię Boże od tego, mój kochany!”

»Wszakże zdaje mi się, iż bardzo przyjemne życie prowadzisz.”

„Myśl sobie tak, jeźli ci to przyjemność sprawia. Lecz co się mego sposobu życia tyczę, nie chcę ci o tém mówić. Jedyną szczérą radą jaką ci daję, jest, abyś żył inaczéj ode mnie.”

„Lecz jakżeż mogę żyć inaczéj, nie wiedząc wprzód jak ty żyłeś?”

„Co do tego,” — odpowiedział mój kuzyn — „dosyć będzie wiedzieć, iż od ośmnastego roku życia oddawałem się jedynie namiętnościom, żem żadny majątek ztrwonił, i że być łatwo może, iż sobie kiedyś życie odbiorę. Czy wiész teraz, co wiedzieć chciałeś?”

„Zepsułeś mi humor kuzynie;” odpowiedziałem.

„To się napijmy, bracie!” zawołał Ravioli z osobliwszym wyrazem twarzy. — »W wszelkich moich zmartwieniach nie znalazłem wierniejszego przyjaciela nad butelkę i śklankę.”

»Za pozwoleniem, moi panowie;” — ozwał się ktoś, wstępując do pokoju — „przerywam bardzo smaczne śniadanie, jak widzę.”

Byłto pan Trafico. Parmezańczyk przyjął go bardzo grzecznie, prosił siedzieć, i podał mu fajkę i *rosoglio.* Pan Trafico dziękował z niejakiém wymuszeniem.

»No i cóż, panie notaryjuszu,” — spytał wkońcu mój kuzyn — „jakże tam nasza sprawa stoi?”

„Już ukończona;” odrzekł notaryjusz.

„Ukończona!” zawołał kuzyn. „Och, mój luby Trafico, przepraszam cię za wszelkie moje niegrzeczności, a dla zupełnego pojednania się z tobą, ofiaruję ci całą moją piwnicę — oto jest *rosoglio,* holenderski *curaçao,* wódka gdańska, rum z Jamaiki. Albo wolisz może wino cypryjskie, *Lacrymae Christi,* reńskie? Co każesz? Wypijmy na naszą wieczną zgodę, za zdrowie nieboszczyka, na cześć twoich talentów i moich spłaconych długów!”

Pan Trafico wziął śklankę z winem cypryjskim i uderzył z nami za zdrowie.

»Tak jest, moi panowie, nasza sprawa wzięła dziś rano stanowczy obrót.”

„A jutro mamy nasze cekiny w kieszeni — nieprawdaż?”

„Być może;” — odpowiedział Trafico — „tymczasem jednak muszę panom oświadczyć iż od wczoraj wieczór znalazł się nowy testament, który został złożony u jednego z moich kolegów, i który połowę dziedzictwa wdowie nieboszczyka, a połowę szpitalom genueńskim zapisuje.”

W nas obu grom uderzył.

Po wymierzeniu tego ciosu znikł pan Trafico jak beduina w pustyni.

„Śmieszny notaryjusz,” — ozwał się kuzyn po długiéj chwili — »uciekł niepotrzebnie; nie miałem wcale myśli, zrobić mu co złego za tę wiadomość.»

Co do mnie, byłem mocno tą nowiną dotknięty. Wszelkie moje marzenia w nic się rozwiały.

„No, i cóż tam, kuzynie!” zawołał Ravioli na mnie — »Oniemiałeś? Bądź tak grzeczny i wypij tę śklankę wina. — Patrz, tyle wina przed nami!»

Widząc zaś, że siedzę jak skamieniały, rzekł poważnie:

»Rozumiém cię; powziąłeś mocne postanowienie. Kiedyż więc chcesz sobie w łeb wypalić? Mam trzy wyborne pistolety.”

Powstałem śpiesznie.

»Życie sobie odebrać!” zawołałem. „O nie znasz mię, jak widzę. Zabić się dla pieniędzy! To hańba wieczna. Nie! Wszak mam jeszcze moje statki, i sieci, i lubię morze! Bądź zdrów kuzynie.”

Mój kuzyn uchwycił mię w ramiona i uścisnął serdecznie, a po jego licu duża łza się potoczyła.

„Cóżto! Zdaje mi się, że to łza była!” zawołał. „Jestto zaprawdę poraz piérwszy od mojego dzieciństwa. Sądziłem nawet, iż moje oczy płakać nie umią. Lecz jakże mógłeś mię do łez rozrzewnić, mój kuzynie! Jesteś wyśmienitym młodzieńcem, i dziękuję ci szczérze za to doświadczenie, które na tobie zrobiłem, a teraz wracaj śpiesznie do Noli.”

Jeszcze tego samego wieczora było wszystko do odjazdu gotowe. W godzinę może przed odjazdem, szliśmy z moim kuzynem przez ulicę Balbi, gdy nas jakiś mały, siwy człowieczek, z świecącémi oczyma, w wyszarzanym surducie spotkał. Ravioli przemówił kilka słów do niego, których ja nie rozumiałem, poczém nieznajomy się oddalił.

„Zaczekaj, mój przyjacielu;” — ozwał się kuzyn do mnie — „ten stary szczwany lichwiarz podał mi dobrą radę. Pójdź ze mną.”

W kwadransie byliśmy w mieszkaniu kolegi pana Trafico, u którego nowszy testament się znajdował. Byłto mały, pękaty mężczyzna, z którego oczu jowijalność wyzierała; nazywał się Benvenuto, i uchodził powszechnie za człowieka rzadkiéj prawości. Po piérwszém powitaniu wspomniał Ravioli o nieprzyjemnéj wiadomości, jakiéj nam Trafico udzielił.

»Cóż robić;” — ozwał się Benvenuto — „takto bywa na świecie, co chwila nowe nadzieje i nowe omamienia. Ztémwszystkiém tak się ma rzecz w isto-

cie; nie ma najmniejszej wzmianki o panu, ani w testamencie, ani w kodycylu.»

„Więc jest także kodycyl?"

„Jest, pewnie, czyż Trafico nic panom o tém nie mówił?"

„Ani słowa. — I cóż ten kodycyl zawiéra?"

Notaryjusz wziął plik papiérów i zaczął je przeglądać. Potém pokazał jeden z aktów mojemu kuzynowi i rzekł:

„Zawiéra on zapis 78.000 cekinów na rzecz pewnego dalekiego kuzyna nieboszczyka, imieniem Antonio-Marco...."

„Jakto! Byłożbyto na moje imię!" krzyknąłem.

Parmezańczyk podskoczył w górę z radości, i wyrwawszy notaryjuszowi testament z ręki —

„Patrz!" zawołał do mnie. „Oto twoje imię i przezwisko mój bracie. Pan Bóg jest sprawiedliwym, a nieboszczyk wart pójść do nieba."

Poczém obrócił się do notaryjusza i rzekł:

„Pański kolega, pan Trafico, jest oszust, który nam umyślnie tę niedokładną wiadomość przyniósł, aby się naszym smutkiem mógł pastwić. Jakoż przez całych sześć godzin byliśmy szczérze zmartwieni. Jestto sprawka, któréj mu nie daruję — zwłaszcza mając nowy, sprężysty szpicrut, bardzo do wypłacania podobnych długów przydatny. Ręczę panu zato."

„Ależ ile się to pana dotycze, miał Trafico zupełną słuszność."

„I myśliszże pan, iż ja za moje własne zmartwienie chcę się pomścić na nim. Bynajmniej. Idzie mi tylko o to, że on mojego poczciwego kuzyna zmartwił. Mniejsza o mnie; jam już od dawna do wszelkich zdrad losu przyzwyczajony."

„Dziękuje ci, mój przyjacielu;" — ozwałem się do kuzyna ściskając go za rękę — „twój szlachetny charakter jest mi już dobrze znany. Lecz przebacz panu Trafico, jak ja mu przebaczam."

Radość Parmezańczyka była w istocie tak szczérą i wielką, iż mię sobie na zawsze ujął. Postrzegłem z żalem, jak się dalece szlachetna bezinteresowność tego mnogiémi przykremi doświadczeniami strawionego człowieka posuwała, tak, iż prawie żadna osobista strata dotknąc go już nie mogła. Gdy moje piérwsze wzruszenie przeminęło, rzekłem do naszego zacnego gospodarza:

„Nie mamyż się już żadnego nowego zawodu lękać? Czyż nie można jeszcze z tamtego świata i drugi testament zniszczyć, tak jak piérwszy testament unieważnionym został?"

„O tém" — odpowiedział poważnie Benvennto — „nie ma żadnéj wzmianki w naszém ustawodawstwie."

„A zatém odbiorę moje 78 tysięcy cekinów?"

„Kiedy pan tylko zechcesz."

„Bądź więc łaskaw, panie notaryjuszu, ułożyć tu prawne oświadczenie, iż 25.000 cekinów z mego legatu odstępuję mojemu kuzynowi Raviolemu."

Parmezańczyk przystąpił do mnie, wziął mię za ręce i opiérał się energicznie przyjęciu tego daru. Wszczęła się szlachetna walka pomiędzy nami, a opór mego kuzyna był zaprawdę heroiczny. Jednakże moje silne postanowienie odniosło w końcu zwycięztwo.

„Ha, jeźli tak chcesz koniecznie," — ozwał się Ravioli — „niechże więc i tak będzie. Mówiłem to już piérwéj, iż jesteś wybornym chłopcem. Jakże ci się wywdzięczę!"

Po ułożeniu należytego aktu pożegnaliśmy naszego notaryjusza, lecz o moim odjeździe do Noli nie było już, jak się rozumie, ani wzmianki.

Musiałbym długo gadać, gdybym chciał wszystkie moje dalsze losy, moje miłostki, pojedynki i niedorzeczną opowiadać rozrzutność, jaką w Paryżu się wsławiłem. Tamto otrzymałem wychowanie wielkiego świata, wyuczyłem się w towarzystwie cudzoziemców pięciu albo sześciu zagranicznych języków, jeździć na koniu, bić się na szpady i na pałasze, a osobliwie trwonić pieniędze.

Jednego razu, siedząc w lecie z rana w moim małym salonie, zastawionym wokoło kwiatami z mojéj ojczyzny, słyszę iż jakaś obca dziewczyna chce ze mną mówić. Kazałem aby ją wpuszczono. Byłem pewny, iż to jaka ogrodniczka, która mi znowu kwiaty przyniosła. Ani więc nie spojrzałem gdy weszła, lecz rzekłem obojętnie:

„Połóż tam, moja kochana, przejrzę je póżniéj."

„Antonio," — odrzekła mniemana ogrodniczka głosem, na który mimowolnie zadrżałem — „przynoszę ci srebrny krzyżyk twojéj matki; maszże jeszcze szkaplérz, który ci dałam?"

Uderzyłem się ręką po czole; zdało mi się, iż to sen miły, i chciałem go sobie przydłużyć.

„Antonio," — powtórzył ów luby głos — »zapomniałżeś o ojczyźnie? Zatoka nolańska lśni jeszcze jak dawniéj błękitem niebios; słońce italskie ozłaca jeszcze jak dawniéj nasze jazminami i powojem porosłe skały; w naszych oliwnych gajach wieje jeszcze, jak zawsze, chłodny wiatr morski, a twoja chatka nad wybrzeżem, Antonio, uwieńczyła się młodą girlandą z winorośli, twoje statki, utęskniając za morzem, schną na wybrzeżu, twoje sieci czekają nowych połowów, a w twoim ogródku kwitną daremnie owe blade róże północy, któreś niegdyś tak lubił..."

»Jigia, Jigia!" zawołałem: „Tyżeśto moje dziécię!"

Spojrzałem przed siebie i obaczyłem młodą smukłą dziewczynę, w ubiorze wieśniaczek z okolic Noli. Miała może lat siedmnaście, i zdawała się być równie hardą jak piękną. Wlepiła we mnie oczy pełne podziwu.

„Ach, tak jest, poznaję cię, poznaję!" zawołałem. »Tyś moim aniołem stróżem! Tyś mię zbawiła!"

»Oto jest moja powieść, mój gościu!» zakończył Antonio po chwili. »Jak widzisz, doznałem różnych przygód w mojém życiu, doznałem i wesela i smutków. Od trzech lat mieszkam z moją piękną, lubą Jiginettą, z którą wkrótce po owéj scenie ślub wziąłem, w tém samotném ustroniu. Miłość budzi wzajemność, i jakżebym był nie miał kochać gorąco skarbu, który nie szukając znalazłem. Jesteśmy szczęśliwi, i już dziwić się nie będziesz, słysząc mię w kilku językach mówiącego, i widząc niektóre kosztowności w moim ręku. Sąto zabytki mojego dawnego majątku, którego nie żałuję. Tu bowiem odzyskałem dawną swobodę umysłu, otrzeźwiłem się przy pracy, i pozbyłem się niedorzecznych urojeń. Czegoż by mi jeszcze tu nie stawało? Mam tu wszystko, mam miłość mojéj Jiginy, mam moje rodzinne morze z jego niebezpieczeństwami i spaniałością burzy. Uciechy tego świata były dla mnie kielichem goryczy, teraz wierzę tylko w ciche szczęście domowe, zdala od wszelkiéj próżności świata.”

Tu zamilkł, podając rękę Jiginie do uściśnienia. Ja wziąłem go za drugą. — Wkrótce wróciliśmy do brzegu.

Powódź w roku 1845.

Opiewałem już powódź pod Pesztem Dunaju,
Co tyle klęsk zrządziła po węgierskim kraju.
Dziś stojąc nad ojczystém przez powódź zniszczeniem,
Ogrom tego nieszczęścia chcę ogłosić pieniem,
I, o ile podołam, lutni mojéj dźwięki
Roznieść ponad wybrzeża, zkąd pochodzą jęki
Tysiąców, pozbawionych przytułku i mienia,
Łaknących na zasiłek trochę pożywienia!
By głos ten, z nieszczęśliwych połączony łkaniem,
Odbił się dla nich — czułych serc politowaniem
Od Karpat niebotycznych do równin Podola!
Ach, bo wielką tych braci naszych jest niedola!

Wasze to dzieło, Wisło, Dunajcu, i Sanie,
Wasze, Rabo, Wisłoko, przez srogie rozlanie!
Coście mniejszych strumieni popijając wody,
Liczne pozatapiały i włości i grody,
I plon wszystek rolnika, w jednéj prawie porze
Zrujnowany do szczętu, poniosły na morze!
Lecz nie tak, jak przed laty nosiliście korce,
By chlebem polskim żywić zgłodniałe zamorce.
Dzisiaj paszczę rozwarłszy Bałtyk rozhukany,
Zmęcone tylko wasze pochłania bałwany;
A żérem tém niesyty, zjéżony i gniewny,
Z podziwem w nurty Wisły wlepia wzrok niepewny:
Czy mu więcéj od Rusi czerwonéj granicy,
Złotawéj sandomirskiéj nie spławi pszenicy?

Lecz powódź tę, dwa tylko dni zwiedły lipcowe.
Wichry północne, chmury naspędzały płowe,
Z których wnet spadły krople rzadkie, lecz dorodne.
Wtém deszcz; — a gdy powietrze zrobiło się chłodne,
I wicher czarne chmury przepełnił brzemieniem,
Rozdarły się — i wody lunęły strumieniem!
Już nie widziałeś deszczu, lecz pełne potoki
Wśród grzmotów i błyskawic zléwały obłoki.
Tak za czasów Noego, orkanów pochopem,
Gniewne nieba świat cały karały potopem.
Lecz wtedy choć czterdzieści dni potrzeba było,
Nim się wszystko w żywiole zgubnym zanurzyło,
Dziś ledwie tyleż godzin nawalnice trwały,
A już wszystkich rzek brzegi, zatopy zalały!
Już przez dżdżystą szarugę ile dojrzy oko,
Wyparte z łożysk rzéki rozlały széroko!
Tu niesie drzewa całe wyrwane z korzeniem,
Tam domy, nawet z ludźmi, z okropném jęczeniem!
Owdzie z sprzętem jakowym igrają bałwany,
Topi się i wynurza z głębin na przemiany.
Aż zgroza patrzyć na tę okropną zagładę!
Wrą tylko wszędy wody, niby widma blade;
Do straszliwéj spiętrzone teraz wysokości,
Pędzą bez zatrzymania, którędy im prościéj.
Znikły z powierzchni ziemi całe wsie i grody,
Lub dachy wyższych gmachów stérczą tylko z wody!

Po dwóch dobach śmiertelnéj trwogi i cierpienia,
Odsłonił się dopiero obraz spustoszenia!
Gdzie były żyzne pola, pełne zboża niwy,
Zobaczyłeś z boleścią panoram straszliwy!
Nic a nic! — tylko szare namuły się lśniące,
Na roli stogi szutru, a piasków na łące!
Nie jeden mur odwieczny rozsypany w gruzy,
Porujnowane drogi, z stawów zdarte śluzy!
A czasem niepożyte granitowe mosty,
Patrz, jak padły ofiarą téj nieszczęsnéj chłosty!
Zewsząd smutne co chwila dochodzą nowiny.
Tu całe i z dobytkiem zginęły rodziny,
Tam się w nędzy okropnéj tułają tysiące!
Tam widzisz starce, dzieci, z głodu konające!
Zewsząd ręce do nieba o litość się wznoszą.
Pisma publiczne, dary serc litośnych głoszą.
Czyż będziemy nieczuli na jęk téj niedoli?
Czy na widok téj nędzy dusza nie zaboli?
Wspomagaliśmy biédnych w Rzeszowie, w Zmigrodzie;
Czyż mniejszych warci względów nędzni przez powodzie? —
Otwórzmy dłoń im bratnią! — a grosz nawet wdowi,
Nie jednę łzę osuszy, rozpacz zastanowi!

J. J.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 33ci i zawiera: 1) O uporządkowaniu pól pod płodozmian. 2) Czyby tego roku mąka ziemniaczana nie mogła się stać artykułem handlowym? 3) Wiadomości handlowe.

Z Warszawy. *Biblijoteka warszawska* na miesiąc sierpień zawiera: 1) Uwagi nad wydaniem warszawskiem Pamiętników Janczara 1828 r. przez Wł. Trębickiego. 2) O drogach żelaznych atmosferycznych i ich najnowszych udoskonaleniach, przez Felixa Miaskowskiego. 3) Czy art. 2277 k. c. stosuje się do procentów od długów hypotecznych? Ułamek z pism pośmiertnych ś. p. Ant. Wyczechowskiego. 4) Józef Frank. Powieść historyczna z drugiej połowy 18go wieku, przetłumaczona z niewydanego rękopisu Alexandra Bronikowskiego. 5) Włościanie i ich regulacyja, przez Ant. Michalskiego. 6) Uwagi nad artykułem p. J. B. Pusch o pomiarach wysokości miejsc, przez A. Pr. 7) Kronika literacka. 8) Rozmaitości. 9) Kronika zagraniczna — biblijografijna. — Doniesienia literackie. — Dostrzeżenia meteorologiczne.

O przedrukach bruxelskich wyraża się znany hrabia A. Gurowski w swojém najnowszem dziele w następujący sposób: »Nie jako stolica i rezydencyja, lecz jako główna siedziba rozszérzonego po całym świecie belgijskiego przedruku, należy Bruxella do pierwszych potęg naszego czasu. Bruxelscy księgarze grają we wszystkich czytelniach i biblijotekach prywatnych ważniejszą rolę, niżli sam rząd i wszystkie dyplomatyczne protokoły. Ci apostołowie przyczynili się bardziéj do rozszérzenia tegoczesnych pomysłów i wyobrażeń, niżby to najzapaleńsi propagandziści uczynić byli mogli. Francuzi, którzy siebie — nie bez powodu — za powszechnych rozszérzycieli światła uważają, nie powinniby tak mocno na bruxelskie przedruki powstawać, gdyż one posłannictwo ich własnego narodu dzielnie wypełniają. A nawet już z samych ekonomiczno-demokratycznych zasad nie należałoby tego czynić, zważając, iż za pomocą tych przedruków każdemu tanim kosztem przystęp do świątyni wiedzy i prawdy, aczkolwiek nieraz grubo z fałszem zmieszanej, jest ułatwiony. Co do mnie, sądzę iż Francuzi, jako prawdziwi nauczyciele ludzkości, raczéj cieszyćby się z tych przedruków powinni, niżli samolubnie, jak inni prości ludzie, na nie się uskarżać, i do przytłumienia ich dążyć. Zresztą cała Bruxella zdaje się być tylko odciskiem i przedrukiem Paryża.

Chrzest Żydów w Rossyi. Dnia 2go maja odbył się w Wołgsku chrzest *wszystkich Żydów* zostających w Saratowskich batalijonach kantonistów wojskowych, a dnia 4go czerwca obchodzono tám podobnąż uroczystość, gdy 130 rekrutów wyznania mojżeszowego, nowoprzybyłych do batalijonów tamtejszych, jednomyślnie oświadczyło chęć przyjęcia wiary prawosławnéj i prosiło o dopełnienie nad nimi chrztu śgo. Dopełnionym został ten obrzęd w sposób następujący: W cerkwi katedralnéj rano rozpoczęła się liturgija, którą odprawili razem nauczyciele religii kantonistów. Żydzi życzący przyjąć chrzest święty, stali u drzwi zachodnich, nie mając jeszcze prawa podług przepisów kościoła, wejść do świątyni. Po liturgii uszykowali się po dwóch rzędem przed cérkwią i udali się nad rzekę Wołgę; za nimi szła procesyja, a następnie mający trzymać do chrztu, oraz nowoochrzczeni Żydzi w porącz. Cały plac przed cérkwią i brzeg Wołgi okryty był ludem, a w przygotowanéj chrzcielnicy na rzéce Wołdze, wszyscy (130) Żydzi, jeden po drugim zostali ochrzczeni. Po ukończeniu obrzędu przyłączyli się już do procesyi nowoochrzczeni i lud, i wrócili do cérkwi przy uroczystém biciu w dzwony.

Wylew Dunaju. Gazety petersburskie opisując tegoroczne wylewy rzék, a szczególnie Dunaju, między różnémi szczegółami tak donoszą: »Wylew ten zmusił dzikie źwiérzęta, które w mnóstwie przebywały po miejscach zalanych, do walczenia z człowiekiem o przytułek. Wilki, dziki, lisy, przypływały do mieszkań, nie lękając się już ludzi, ani nawet wystrzałów; wysilone długiém pływaniem, przechodziły z jednéj ostateczności w drugą: tu zatapiała je woda, tam ludzie śmiercią im zagrażali. Wierzchołki drzew, budki strażnicze, słowem wszystko, co tylko sterczy nad powierzchnią wody, otoczone jest wężami, owadami i innémi drobnémi źwiérzętami. Od gnicia potopionych źwiérząt jest powietrze już teraz bardzo duszące, i można przewidywać, że się jeszcze gorzéj zepsuje, gdy woda opadnie i zaczną gnić ryby, które nie zdołały ujść z wodą, jako też rośliny i same błota.

Zégary wodne. W zakładzie leczenia wodą w Talkirchen, w Niemczech, urządził niejaki p. Maler, mechanik i zégarmistrz z Immenstadt, machinę osobliwszego rodzaju. Jestto dwanaście w różnych pokojach ponmieszczanych zégarów, które wszystkie wodą są poruszane, i za jedyną jéj pomocą idą i biją. Mechanizm tego dzieła ma być tak pojedyńczym, iż każdy, obaczywszy je, mimowolnie ów wykrzyknik przy jaju Kolumba powtarza: »To nic sztuka! I jabym to był potrafił!« — gdyby mu ta myśl była przyszła. Że zaś ta machina w wodnym zakładzie lekarskim się znajduje, jest jakby pociechą dla pacyjenta, który również zadziwiającego ożywienia swojego organizmu za pomocą wody spodziewać się może, jeźli tylko wnętrzne części tego organizmu nie są zupełnie zepsute.

Angielski »order gwoździa«. Mało kto zapewne słyszał o tym wojskowym angielskim orderze, a przecież jest on w całéj armii angielskiéj w największém poszanowaniu. Jak wiadomo, nie wierzy żaden naród tak mocno jak Anglicy w przysłowie »Wino objawia prawdę«. Ztądtéż pije Anglik chętnie a dużo, i nie zabierze nawet z nikim poufałéj przyjaźni, póki się z nim nie upije. Nigdzie zaś w Anglii nie posuwają tego zamiłowania w prawdzie, to jest w winie, tak dalece, jak w armii. Przed 40tą laty wyprawiały zwykle towarzystwa oficerów publiczne uczty, na które każdy swoich znajomych mógł zaprosić. Dla utrzymania porządku podczas uczty obierano prezydenta i wiceprezydenta, którzy na dwóch przeciwnych końcach stołu zasiadali i ztamtąd całéj biesiadzie przewodzili. Po zastawieniu wetów i należytéj liczby butelek oddalono wszystkich służących, a prezydent brał gwóźdź i młotek, i wbijał gwóźdź we drzwi na znak, iż już nikomu ani wejść ani wyjść nie wolno. Poczem wracał na miejsce i wnosił uroczyście zdrowie królewskie, które w milczeniu, stojąc wypito. Poczém następowała powszechna pijatyka, a wnet też powszechne upojenie. Sam tylko prezydent powinien się był dobrze trzymać, stosownie do surowego przepisu, nakazującego mu trzeźwość dopóki wszyscy się nie popiją. (To przypomina nieco obyczaje naszych dawnych Kozaków, u których w dzień wyboru hetmana, jeden tylko pisarz koszowy miał obowiązek być trzeźwym, gdyż zresztą, ku zgorszeniu naszych kozackich romansyerów, cała prześwietna Sicz zaporozka leżała ścięta pod ławą.) Jeźli który z obecnych upić się wzbraniał, tedy zagrażał mu prezydent najprzód karą, a potem pogardą wszystkich towarzyszów. To gwałtowne upijanie się na komendę ustało od r. 1815, czyli raczéj przybrało nieco przyzwoitszą, ucywilizowańszą postać. Od roku 1830 istnieją we wszystkich

pułkach angielskich takzwane towarzystwa gwoździowe, na pamiątkę owego sławnego gwoździa, który niegdyś we drzwi wbijano. Wszyscy członkowie schodzą się na zgromadzenie z znakiem swojego towarzystwa, to jest srebrnym gwoździem, zawieszonym na szyi. Wstępując do zakonu gwoździowego obowiązuje się każdy członek, schodzić się co miesiąc na zgromadzenie, które się po kolei u każdego z braci odbywa. Celem tych zgromadzeń jest porządne upicie się raz w miesiąc w dobranem towarzystwie, czyli, jak to statuta towarzystwa malowniczo wyrażają — jestto »ukucie sobie gwoździa do trumny.« — Tymczasem twierdzi pewne angielskie przysłowie, iż upijanie się od czasu do czasu, jest nietylko nieszkodliwem, lecz owszem potrzebném i zbawienném dla zdrowia. I téjto koniecznéj potrzebie stara się zacne towarzystwo gwoździowe odpowiadać.

Stan kupiecki w Rossyi podzielony jest na trzy klasy. Kupcy należący do pierwszej klasy muszą posiadać kapitał 50.000 rubli, mogą zakładać rękodzielnie, prowadzić handel w kraju i zagranicą, są wolni od kar cielesnych, i wolno im jest jeździć cztérma końmi, jak szlachta; w roku 1839 liczba ich wynosiła 889 osób. Druga klasa wymaga 20.000 rubli majątku i upoważnia tylko do handlu wewnątrz kraju, jakoteż do jeżdżenia tylko parą końmi. Do trzeciéj klasy należą kupcy, mający 8,000 rubli własnego kapitału, którzy tylko drobiazgowy handel prowadzić mogą. Ta ostatnia klasa liczyła w pomienionym roku 33,803 — druga klasa 1874 głów. Liczba chłopów, którym pozwolono było handlować, dochodziła 5300 głów; ci nie potrzebują z swoim majątkowym stanem się wykazować; kupczyków było 8345, a tak ogólna suma wszystkich w rossyjskim handlu uczęstniczących krajowców wynosiła przeszło 50.200 osób.

Przysięga Cyganów. W roku 1423im Zygmunt król węgierski nadał Cyganom przywileje w swoim kraju. Wtedy mieli oni w każdym komitacie własnych naczelników, którzy nazwani *agiles*, byli zarazem ich sędziami. Rządzca wszystkich przebywających w Węgrzech Cyganów wybiérany był z ich grona przez palatyna, i miał jak każdy szlachcic węgierski tytuł *egregius*. Pisarz Szyrmaj zachował nam rotę przysięgi wykonywanej w sądach przez Cyganów. Oto jej początek: »Jako Bóg zatopił króla Faraona w morzu czerwonem, tak niech będzie pochłoniony Cygan w przepaściach ziemi, i niech będzie — przeklęty jeżeli nie wyzna prawdy, niech mu *żadna kradzież*, handel, i jaka bądź sprawa nie powiedzie się nigdy. Niech za piérwszém stąpieniem koń jego cudownym sposobem przemieni się w osła, a sam niech będzie ręką kata uwiązany do szubienicy.«

Długie nosy. Napoleon zwykł mawiać: »Ile razy jakiéj dobrze wypracowanéj depeszy potrzebuję, wybiéram zawsze do tego człowieka z długim nosem, rozumie się, jeżli stosowne w téj mierze wykształcenie posiada. Oddech jego jest swobodny i śmiały, a jego mózg, jakoteż płuca i serce są zimne, zdrowe i jasne. Odkiedy ludzi uważam, zawsze bez wyjątku postrzegałem, iż długi nos a tęga głowa nierozłącznie sobie towarzyszą.«

Dla artystów. Dwaj Anglicy, panowie Thomas Bell i Charles Hill Roe rozpisali w londyńskiém piśmie czasowém »*Athenaeum*« z dnia 21go czerwca, nagrodę 1000 funt. szterl. — blisko 40.000 zł. pol. — za malowidło olejne, przedstawiające chrzest Chrystusa w Jordanie. Za skazówki, do których spółzawodnicy stosować się powinni, wymienione są następujące miejsca z ewangelistów: Mat. III. 13—17. Mark. I. 9—11. Łuk. III. 21—23. — i ustęp z Miltona »Raju utraconego« ks. I. wiérsz 79 — 86 i 282. Wielkość obrazu nie ma przechodzić 15stu (angielskich) stóp szerokości a 12stu wysokości, jakoteż nie zniżać się pod miarę 12stu stóp szérokości a 10ciu wysokości. — Artyści wszystkich narodów mogą ubiegać się o nagrodę. Termin nadesłania obrazów wyznaczony jest aż do końca miesiąca marca 1847go roku. Bliższe wyszczególnienie miejsca przesyłki i t. d. nastąpią późniéj.

Korzystny handel. Pewien holenderski kupiec miał bardzo piękną córkę, któréj z macierzystéj części 300.000 zł. posagu się należało. Usłyszawszy to jakiś filut, przybył do kupca przed samym obiadem i rzecze: »Oto mości panie, nadarza się wyśmienity interes; w jedynéj godzinie możesz wpan 100 tysięcy złotych bez żadnych trudności i zachodów mieć w zysku.« — Chciwy kupiec zapalił się do tak korzystnego interesu, zaprosił swego gościa na obiad, uraczył go sowicie, a nareszcie po skończonych ceremonijach, z najżywszą ciekawością zapytał: jakiżto ów interes, przy którym 100,000 zł. zarobić można. — »Oto« — odpowiedział filut — »masz wpan córkę któréj należy się 300.000 posagu; wydaj ją wpan za mnie, a ja poprzestanę na dwóch trzecich częściach téj sumy — tak 100 tysięcy wpan dla siebie zyskasz.«

Winowajca pod strażą. Wiadomo jest iż w krajach tureckich piekarze, którzy nie podług należytéj wagi chléb pieką, do drzwi za jedno ucho gwoździem przybijani bywają. Niedawno zdarzyło się to, jak dzienniki donoszą, jednemu piekarzowi w Kairo, a opodal od niego siedział żołniérz na straży i palił sobie spokojnie fajkę. Podróżnik, który to opisuje, słyszał następną rozmowę między winowajcą a jego strażą: »Bracie,« — ozwał się piekarz — »nasz święty prorok wyrzekł, abyśmy sobie wzajemnie pomagali.« — Żołniérz, nie odpowiadając, palił wciąż tytoń. — »Bracie,« — rzekł piekarz po chwili znowu — »czy mię nie słyszałeś?« — Żołniérz puścił duży kłąb dymu przed siebie. — »Bracie,« — dodał winowajca żałośnym głosem — »podłóż mi kamień pod nogi, a dam ci piastra (3 grosze).« Karani bowiem tym sposobem występcy, bywają tak wysoko za ucho przygwożdżani, iż tylko na wielkim palcu wspiérać się mogą. Żołniérz milczał jeszcze i na to ostatnie wezwanie. »Dam ci więc dwa piastry — dam ci trzy — cztery.« — »Dziesięć!« ozwał się żołniérz. Piekarz wahał się długo między boleścią a skąpstwem, aż wreszcie dał żądaną nagrodę, a żołniérz wsunął mu kamyk pod nogi, poczém usiadł sobie znowu i palił fajkę. — »Bracie!« zawołał piekarz. »Nie czuję nic pod nogami.« — »Wszakże ci kamyk podłożyłem;« — odrzekł żołniérz — »jest on odpowiedni nagrodzie, jaką mi dałeś; lecz daj mi dwa talary, a podłożę ci taki kamień pod nogi, iż jeszcze w raju będziesz tęsknił za tym kamieniem pod drzwiami.« — Biedny piekarz ciérpiąc ból niemiłosierny, dobył talarów i dał je żołniérzowi, a ten mu duży, płaski kamień położył pod nogi, na którym winowajca mógł się wesprzeć wygodnie.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.